

Jestem jedyną osobą na świecie, która wie, co dzisiaj zrobię. Oczywiście o ile się ośmielę...

Moje botki czekają nieruchomo na gładkiej posadzce lotniska. Kiedy ktoś na mnie spogląda, na moment serce przestaje mi bić. Czy kojarzą mnie z internetu? Może zaraz obrzucą mnie wyzwiskami?

Nic takiego się nie dzieje. Ludzie w hali odlotów bezmyślnie gapią się przed siebie. Wczoraj czytali o moim zbereźnym ojcu, dzisiaj jednak ruszają w podróż. Ciągną za sobą walizki i wrzeszczące dzieciaki i już dawno zapomnieli o swoich tweetach.

Ja nie zapomniałam tych pogroźek.

Od wtorku wieczorem oddycham płytko; w ustach czuję nieznośną suchość. Gdzieś w mojej głowie bez ustanku brzęczy dzwonek alarmowy. „Niebezpieczeństwo” – sygnalizuje. „Uciekaj. Szybko”.

Zachowuję się tak, jakby to, że stoję sama na lotnisku Schiphol, było najnormalniejszą rzeczą pod słońcem. Nad moją głową migają

napisy na tablicy informacyjnej, czuję zapach męskiego potu, tuż obok ktoś przewozi w plastikowej klatce psa wielkości cielaka.

Co trzydzieści sekund moja ręka wędruje do torby, by złapać za telefon, ale za każdym razem nieruchomieje w pół drogi. Przecież wyłączyłam komórkę. Pierwszy raz w życiu.

Wyjmuję z wyprzedzeniem paszport i przeglądam książeczkę, w której nie ma ani jednego stempelka. Zatrzymuję się przy stronie z fotografią. Nie lubię oglądać własnych zdjęć. Mam za proste włosy, za duże oczy, zbyt bladą twarz. Wyglądam, jakbym rozplywała się w nicości.

Ale zdjęcie w paszporcie jest inne: zostało zrobione trzy lata temu, kiedy byłam jeszcze w szkole podstawowej. Spoglądam z niego rezolutnie, jakby rozpierała mnie straszna ochota na resztę życia. Miałam wtedy jedenaście lat i hodowałam rzeżuchę w skorupkach po jajkach.

No więc tą dziewczyną już nie jestem.

Obok zdjęcia widnieje moje imię: Emilia December de Wit. Poważnie, tak się nazywam.

To drugie imię wymyśliła moja mama. Urodziłam się po terminie, dopiero drugiego stycznia, ale mama nadal upierała się, że trzeba mnie nazwać December.

Mój ojciec mógł powiedzieć: „Lepiej chyba będzie do niej pasować Susanne. Albo Margriet”. Mógł też rzucić: „Nazwijmy ją Cosinus Trójkąta Równoramiennego de Wit”. Może wtedy do matki by dotarło, że to nie najlepszy pomysł, by przepracowywać własne szaleństwo poprzez wybranie imienia dla dziecka.

Ale ojciec nie zaprotestował. Już czternaście lat temu był, oczywiście, egoistycznym gnojkiem. Kompletnie mu zwisało, jak będzie mieć na imię jego jedyny dzieciak.

W końcu przychodzi moja kolej. Kładę paszport na kontuarze i rozpaczliwie próbuję sprawić, by ślina napłynęła mi do ust.

– Dokąd dzisiaj lecis? – pyta funkcjonariuszka ubrana w słoneczną żółć.

– Do Nowego Jorku.

Wyprężam się. Ogarnia mnie strach. A jednocześnie czuję, że na dźwięk tej nazwy moja krew zaczyna krążyć w innym rytmie. Jadę do Nowego Jorku. Nad łózkami moich koleżanek wiszą plakaty z chłopakami, których nigdy w życiu nie spotkały. Nad moim łóżkiem widnieje zdjęcie panoramy Nowego Jorku. Nigdy tam nie byłam, a jednak kocham to miasto.

– Lecisz sama? – pyta kobieta.

Potwierdzam skinieniem głowy. Usiłując opanować oddech, odpowiadam na kolejne pytania.

Tak, sama zapakowałam swoją walizkę.

Nie, w bagażu podręcznym nie przewożę żadnych niebezpiecznych substancji.

Na pokład zabieram tylko tę torbę na ramię.

Pani z obsługi mi się przygląda, ale najwyraźniej nie kojarzy mnie z internetu. I, Bogu dzięki, nie przypomina sobie nagle, że we wczorajszych wiadomościach widziała odrażającego typu o takim samym nazwisku.

Moja pękata walizka otrzymuje nalepkę z kodem paskowym i znika mi z oczu. A ja dostaję kartę pokładową. Za półtorej godziny zaczyna się odprawa.

Ruszam w stronę kolejki do kontroli paszportowej. Jestem całkiem sama, bez walizki czuję się cudownie lekko; krew pulsuje mi w żyłach tak, że aż przechodzą mnie ciarki i właściwie wciąż nie mogę uwierzyć: naprawdę to zrobię. Dwa dni temu ledwie zaświtał mi ten pomysł. Taka myśl: że gdybym była zupełnie inną dziewczyną, pokazałabym światu środkowy palec i poleciała do Nowego Jorku.

Jest piątek, 26 października. Znajdę się tam za dziesięć i pół godziny.

2

Kiedy jest się samemu, wszystko wygląda inaczej. Kolory są jaśkrawsze, dźwięki brzmią donośniej, plany mogą w każdej chwili wziąć w łeb. Przechodzę przez tętniącą hałasem halę odpraw i powtarzam sobie, że muszę być silna. Dziewczyna, która w nocy kradnie ojcu kartę kredytową, żeby kupić bilet na samolot, nie zamyka się w lotniskowej toalecie, żeby sobie poryczeć. Nie zaczyna też nagle krzyczeć ani nie włącza komórki, żeby zadzwonić do mamy.

Kupuję kubek cappuccino. Nie przepadam za kawą, ale muszę zachować czujność. Wciąż dokucza mi skaleczenie na lewej dłoni. Plaster zaczyna przeciekać, ale nic na to nie poradzę. Wolę się wykrwawić na śmierć niż zmienić opatrunek w publicznej toalecie.

I nagle staję jak wryta.

Wpatruję się w dziewczynę w sklepie z kosmicznie drogimi torebkami. Ma kręcone blond włosy, ubrana jest w obcisłe dzinsy i uggsy. To Juno – nie ma innej opcji. Stoi tyłem, więc nie widzę jej twarzy. Serce wali mi jak oszalałe, czekam, aż się odwróci.

To ktoś inny.

Chwiejnie podchodzę do najbliższego rzędu krzeseł. Siadam, zaciskam mocno dłonie, ale ból skaleczenia sprawia, że natychmiast przestaję. Jak mogłam sądzić, że jestem odważna?

Drżącymi palcami wyjmuję z torby przeźroczystą koszulkę z papierami. Wydrukowałam wszystko, naprawdę wszystko. Rozpiszę lotów. Rozkład jazdy autobusu, w który niebawem wsiądę w Nowym Jorku. Kurs wymiany dolara. Ile się zostawia napiwku. W których muzeach wisi najwięcej obrazów impresjonistów. Czytam to tak długo, aż znowu zaczynam oddychać normalnie, i wtedy wreszcie ośmielam się podnieść wzrok.

Na zewnątrz, za ścianami ze szkła, widzę siedemnaście samolotów. Ich silniki już ryczą; maszyny zaraz się uniosą i wysoko na niebie zamienią w łabędzie.

„Już po wszystkim” – mówię sobie w myślach. Już nie wpadnę na Juno na korytarzu. Jej kumple już więcej nie będą za mną wrzeszczeć na boisku. Moja torba gimnastyczna nie ucierpi więcej od ich zapalniczek, a pobazgrana szafka i tak już do mnie nie należy.

Już nigdy nie wrócę do tej szkoły.

W poczekalni przy bramce muszę na chwilę włączyć telefon. Czekam w napięciu, aż ściągną się wiadomości, ale nic się nie dzieje. Rodzice myśla, że jestem w szkole, kumple – że wyję pod kołdrą.

Cóż, tak się składa, że się mylą. Tak się składa, że nadszedł czas, bym pokazała środkowy palec światu – a przynajmniej swoim rodzicom. Mejl do nich jest gotowy do wysłania od wczorajszego wieczoru.

*Do frajerów, którzy mnie splodzili*

*Myślałam, że mamy układ.*

*Ja odrabiam lekcje, nakrywam do stołu i nie przedziurawiam sobie pępka piercingiem. Wy mnie karmicie i nie robicie nic, za co można trafić do więzienia.*

*Ten deal już nie obowiązuje. To się rozumie samo przez się.*

*Myślicie pewnie, że właśnie piszę potężny sprawdzian z fizyki, ale tak się składa, że siedzę w pociągu do Niemiec. Jadę pomieszkać u Käthe. Zwariuję tutaj, więc uciekam do kraju, w którym mój ojciec nie jest wiadomością dnia. Nie macie pojęcia, jak jest w szkole, na Facebooku, Twitterze i w ogóle.*

*W każdym razie nie macie pojęcia, jak to jest być mną.*

*Nie przyjeżdżajcie po mnie. Ani nie dzwońcie – i tak nie odbiorę. Käthe też nie, już dawno zmieniła numer.*

*Jutro znowu napiszę, żeby dać znak życia.*

*O ile oczywiście pozostanę przy życiu.*

*E.*

Mój palec wisi nad ikoną „wyślij”. Jeszcze mogę się cofnąć. Mogę wstać i zawrócić. Minać taśmociągi bagażowe, na których dostają kręćka walizki, i wejść do hali przylotów, gdzie nikt na mnie nie czeka. Mogę wrócić pociągiem do domu, jakbym nigdy nie planowała uciec.